Nr. 23. Rok 15.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 3. Czerwca 1848.

Uwagi nad szkołami. — Bitwa pod Maciejowicami. — Przekład Odyssei pierwszych trzech ksiąg Mrongowiusza (ciąg dalszy).



Szewno pod Ostrowcem w wojew. Sandomierskiém.

Uwagi nad szkołami,
jakby je zmienić wypadało, aby odpowiadały duchowi czasu.

W naszych czasach nadzwyczajnych zmian, które wszystkie pokłady życia ludzkiego i towarzyskiego przenikają, konieczną jest, aby się do nich wszelkie instytucye, które na kraj i lud wpływają, zastósowały. Pomiędzy niemi nader ważne miejsce zajmują szkoły; o ich więc zmianie pomyśleć trzeba. Lecz jeżeli wszystkie narody nad tym przedmiotem należycie zastanowić się powinny, Polacy przedewszystkiem wszelkich sił dołożyć muszą, aby ich szkoły odpowiadały duchowi czasu i potrzebom narodu. W Wielkiém ks. Poznańskiém pojęli od lat kilku ważność téj sprawy deputowani sejmowi, lecz już to ogromne przeszkody, które rząd stawiał, już to brak dokładnéj znajomości, w jakim stanie szkoły się u nas znajdowały, sprawiły, że dotąd nasze szkoły nie wpływają na oświatę i moralność w tym stopniu, jakby powinny; co więcéj, przytępiają i przytłumiają nawet wrodzone Polakom zdolności. Dziś stan rzeczy zupełnie się zmienił, może będziemy mieli wolności, które pozwolą każdéj rzeczy rozwijać się naturalnie, szkoły więc muszą wziąć kierunek, który odpowie duchowi czasu. Dla tego świętą jest dla nas powinnością, abyśmy wszyscy, którzy szkoły znamy, wytykali wady z obecnego czasu, a razem podawali środki, jakby temu zaradzić można. Powinność ta w naszych czasach jest tém większą, gdy mamy do czynienia z wrogiem (komitetem Niemieckim w Poznaniu), który z większą niż kiedykolwiek zaciętością walczy przeciw naszéj narodowości, który niestety w swych najbezczelniejszych żądaniach z łatwością znajduje pomoc tam, gdzie my często bezskutecznie kołacemy. Tylko sprężyste i szybkie działanie zniweczyć może tak ohydne zabiegi, a ufność w Bogu ożywia nas nadzieją, że sprawa nasza zwyciężyć musi.

Szkoła, jako instytut, mający rozum człowieka oświecić, a serce uślachetnić, powinna mieścić w sobie wszystko, coby do tego celu zmierzało. Cel ten jak życie człowieka objąć winien trzy zakresy. Jak bowiem człowiek jest najprzód członkiem familii, dalej stanu (państwa), wreście całéj ludzkości, tak każda szkoła powinna być w sobie skończoną całością, któraby młodzież z niéj wychodzącą tak usposobiła, iżby stósownie do swego położenia poznała swe stanowisko do familii, stanu i ludzkości, czyli Bóstwa. Według takiego pojęcia zadanie szkoły jest bardzo trudném; jednakbyśmy się mylili, gdybyśmy dla tego utrzymywali, że jest niepodobnem. Jeżeli bowiem za prawdę uznamy, iż szkoła ma nas oświecić i uślachetnić, a tém samém uzdolnić do życia spółecznego, przypuścić musimy, iż posiada wszelkie środki, aby tego dokazała; inaczéj nie odpowiada swemu celowi, tém samém jest niepotrzebna, albo jest źle urządzona, i dla tego ją poprawić trzeba, aby działała według swego przeznaczenia. Cóż więc w sobie mieścić powinna? Jako instytut kształcący, uślachetniający i do życia spółecznego sposobiący, winna wzbudzać i rozwijać władze tak umysłowe jak uczuciowe, czyli kształcić głowę i serce; daléj gładzić i naginać siły fizyczne, czyli urabiać ciało tak, iżby jako nieodstępny towarzysz ducha był dla niego narzędziem, któreby mu nie tylko w niczém nie przeszkadzało, ale wszędzie pomagało; wreście nadać tym siłom duchowym i cielesnym taki kierunek, iżby dążyły ku dobru spółecznemu. Dla tego podobieństwo zadosyć uczynienia tak ważnemu zadaniu polegać zawsze będzie na dwóch rzeczach: *Na dobrém urządzeniu szkoły* i *na poświęceniu nauczyciela*; gdzie braknie jednéj z tych podstaw, tam nic się nie uda. Niech będzie szkoła jak najlepiéj urządzona i we wszystko zaopatrzona, a nie ma dobrego nauczyciela, upaść musi; jak z drugiéj strony niech będzie najlepszy nauczyciel, ale w szkole na tysiączne spotyka przeszkody, choć uzna świat jego zabiegi, nie dojdzie do swego celu, lecz strawiwszy swoje siły, w końcu sam zmarnieje.

Oto jest źródło wszelkich narzekań na szkoły; oczyśćmy je, a skargi się zmniejszą; zmniejszą, mówię, bo ustać nigdy nie ustaną, dla tego, że nie zawsze w naszéj jest mocy, obie rzeczy połączyć. Lecz jeżeli szczerze o to starać się będziemy, najczęściéj do celu dojdziemy. Zadanie szkoły jest nader wielkie i nader ważne; dla tego téż zabiegi temu odpowiadać powinny. Oszczędzajmy w czém inném, ale gdzie idzie o dobro szkoły i nagrodę nauczyciela, tam bądźmy szczodrymi.

Lecz jakkolwiek każda szkoła ma być w sobie skończoną całością, aby wyżéj określony

cel osiągnęła; nie wypada stąd jeszcze, aby wszystkie szkoły były i musiały być równémi. Owszem, jak ludzie w swém pożyciu różne zajmują stanowiska i podług tego różne mają potrzeby, tak szkoła musi być podobnie urządzona, aby stósując się do różnic światowych, człowieka z niemi pogodziła i w ten sposób kamień węgielny do wiecznego pokoju zakładała. Szkoła właśnie powinna w sobie mieścić obie strony: aby wszystkich ludzi równała, a tém samém w nich ślachetność i godność duszy budziła; a potém, aby ich do koniecznych różnic, które w społeczeństwie ludzkiém mimowolnie powstają, sposobiła, a tém samém w nich zaszczepiała ducha pokory i poświęcenia. W ten sposób będzie szkoła prawdziwą i niezachwianą podstawą życia społecznego, robiąc je niejako szatą jednolitą, z różnych włókien złożoną. W ten sposób pielęgnując i rozwijając to, co jest w człowieku najświętszém; niwecząc i potępiając wszelkie nadużycia, które godności jego ubliżają; wreście, popierając i usprawiedliwiając różnice, które mają źródło czyste, nie zaś głupotą, wyniosłością i brudem skalane: wzbudzi w człowieku prawdziwą wolność, opartą na godności ludzkiéj, a oswobodzoną od wszelkiéj namiętności; zrobi go prawdziwie moralnym, który szukając swego dobra, będzie je widział tylko w dobru drugiego; słowem, ukształci w nim dobrego ojca, obywatela i człowieka.

Po tych ogólnych uwagach łatwiéj przystąpić możemy do rozbioru pytania, jaki podział szkół może najlepiéj odpowiedzieć wszystkim potrzebom życia społecznego?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bitwa pod Maciejowicami.

(Z *Pamiętników czasów moich,* Niemcewicza.)

Dzień 9. Października równie był jasny, jak dżdżysty poprzedzający. Z rana pułkownik Krzycki przybył do obozu naszego z dwoma pięknémi pułkami piechoty, wysłanémi z Warszawy. Znużony gwałtownym nocnym pochodem żołnierz, pomrukiwał nieco, lecz rozdana żywność i wódka, powróciła dobry humor. Siły nasze w ten czas wynosiły do 5,600 ludzi i 21 dział. Przybył z nim także S. Fiszer, dawny adjutant Kościuszki. O dziewiątéj z rana ruszyło wojsko naprzód; o czwartéj wyruszyliśmy z lasu i przybliżać zaczęli do Maciejowic. Naczelnik ze mną i kilkoma ułanami posunął się naprzód, by rozpoznać nieprzyjaciela. Ujrzeliśmy wkrótce nieprzyjacielskie wojsko. Rozciągał się obóz jego nad brzegiem Wisły, jak tylko oko zajrzeć mogło. Lubo odległość nie dozwalała dobrze rozeznawać przedmiotów, wspaniałym był widok ten. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się jasno o bagnety piechoty; rżenie koni, gwar niezmiernego mnóstwa tego, napełniający powietrze, miał w sobie coś przerażającego. Rzuciliśmy na prędce strzelców naszych po obu stronach boczącego nas lasku. Przednie czaty nasze zaczęły z kozakami utarczkę na równinie rozciągającéj się od Wisły do wzgórza, na którém stoi dom Maciejowic; nasi zabili kilku kozaków i obdarli natychmiast z trzosów, zawierających same monety Polskie. Na widok ten leci w zawód ich oddział w szyku pół księżyca (jak jest zwyczaj kozacki), przeskrzydla nas, zewsząd otacza, nagli tak, że dzidy kozackie tuż widzieliśmy za sobą, i nie pojmuję, jak nie byliśmy schwytani; szczęściem, pokazanie się szwadronu pułku Kamińskiego, zagroziło kozakom, tak, że się w tył cofnęli; o piątéj uspokoiło się wszystko, całe wojsko nasze ściągnęło na miejsce.

Wieś Maciejowice, dziś Podzamczem zwana, leży w nizinie, lecz sam dom murowany na wzgórzu, naprzeciw Wisły, długa grobla prowadzi do niego; po prawéj ręce rzeczka Okrzeja, po lewéj błota i zarośla. Położenie to zdało nam się wyborném. Całe siły nasze umieściły się na wzgórzu; od domu postawiono działobitnię, przeszywającą całą długość grobli; dwa pułki fizylierów i pułk Działyńskiego były pod dowództwem Generała Sierakowskiego; resztę okręgu napełniała piechota, brygada jazdy Kopcia, ułany Kamińskiego, dwa szwadrony jazdy gwardyi koronnéj i tyleż milicyi województwa Brzeskiego Lit., wszystko pod dowództwem Generała Kniaziewicza. Rozkazał Naczelnik w kilku miejscach posypać wały, lecz noc zaskoczyła, gdy je ledwo zaczęto. Całe wojsko zostało przez noc pod bronią. Podwojono czaty, każdemu konnemu przydano strzelca pieszego. Poczyniwszy te rozporządzenia, udaliśmy się do pomienionego powyżéj domu.

Nie wierzę odtąd przeczuciom. Była to wi-

gilia jednego z najnieszczęśliwszych dni życia mego, dnia, w którym straciłem mą wolność, a co stokroć boleśniejszém, dnia, w którym ojczyźnie mojéj cios śmiertelny zadany; przecież byłem spokojny, co więcéj, wesoły.

Pałac murowany, do któregośmy się schronili, był zrabowany i zniszczony, jak wszystkie te, przez które przechodzili Moskale. Maciejowice w dawnych czasach należały do rodu Maciejowskich, późniéj do Potockich, od których je nabył Andrzéj Ordynat Zamojski. Sala górna ozdobiona była portretami Prymasów, Kanclerzów, Hetmanów, Biskupów; wszystkim tym wizerunkom Moskale powykalali oczy dzidami, szablami porąbali twarze. Takie to było wojsko sławnéj Katarzyny II., protektorki nauk i sztuk pięknych. Nie znaleźliśmy już biblioteki, zabrali ją officerowie Moskiewscy; skrzynia tylko jedna, zawierająca małe druki i zbiór gazet Polskich, z początku XVIIIgo wieku, leżała rozbita, a zawarte w niéj gazety zawalały kaplicy posadzkę. Między innemi natrafiłem gazety donoszące o śmierci Augusta II. i dziennik Sejmu konwokacyjnego. Nadęty styl, pełne makaronizmów Łacińskich peryody, pobudzały mnie do śmiechu: wziąłem z nich kilka arkuszy, i przy wieczerzy czytałem Kościuszce. Rozmawialiśmy o dniu jutrzejszym, o trudnościach, jakie znajdą Moskale w atakowaniu nas. O drugiéj z północy obudził mnie Kościuszko i napisać zlecił rozkaz Ponińskiemu, by jak najprędzéj pośpieszał złączyć się z nami. Niestety! już to było za późno, za daleko zostawiony, nie mógł już zdążyć, i z téj strony wolnym być powinien od posądzań i winy.

O samym świcie adjutant od służby Kuniewski dał nam znać, że nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód. Szczupłe wojsko nasze do przyjęcia go wkrótce było gotowém. W minutę jużeśmy byli na koniach. Naczelnik postrzegłszy w tyle naszym wioskę, by jéj nie opanowali Moskale, kazał ją zapalić. Nie zapomnę nigdy okropności widoku tego; obejmują wieś tę płomienie, wznoszą się nad nią kłęby dymu czarnego; wieśniacy, kobiety z dziećmi na łonie, bydło, ptastwo, ucieka we wszystkie strony, napełniając powietrze płaczem i jękami.

Moskal mając działa większego kalibru, pierwszy kulami swemi dosięgać nas zaczął. Ogromne te kule z strasznym łoskotem przedzierając się przez drzewa i krzaki, łamały je i okrywały nas oderwanémi gałęziami. Nie mieliśmy jak trzy lub cztery dwunasto-funtowe działa. Skoro nieprzyjaciel na ich dosięgnienie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień; sam je naczelnik celował, z takim skutkiem, iż widać można było chwiejące się szyki. Przez trzy godzin, mieliśmy nad nieprzyjacielem górę, tak dalece, iż przystąpiwszy do Naczelnika Generał Sierakowski, rzekł: Zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu. Wkrótce pokazało się przeciwnie: w czwórnasób liczniejsi od nas i w ludziach i w działach, stratę ludzi licząc za nic, nie zważając ni na trudności przystępu, ni na morderczy ogień nasz, coraz zbliżali się więcéj. Ogień ich stawał się prędszym i coraz straszniejszym. Grad kul i granatów gwiżdżąc bez ustanku około uszu, padał pomiędzy hufce nasze; nie pojmowałem, jak w porównaniu gęstości kul tych nie więcéj ludzi padało. Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Przypominam sobie, że rozpalony granat padł w miejsce, gdzie Naczelnik, Fiszer i ja staliśmy razem; pękł, i o pięćdziesiąt kroków od nas kanoniera trupem położył. Za większém zbliżeniem się nieprzyjaciela, z ręcznéj strzelby gęsty z obu stron zaczął się ogień, okrywała się ziemia trupami, przerażały powietrze jęki ranionych i konających, żaden atoli z naszych nie opuścił miejsca, na którém walczyć zaczął. Już pobito konie od dział, już wypróżniono amunicyą, gdy Pułkownik Krzycki nie mogąc dłużéj utrzymać stojącego przez sześć godzin na jedném miejscu żołnierza, ruszył naprzód i przerwał stykające się dotąd z sobą szyki. Stał się roztwór, pobiegłem do Kościuszki, oznajmując mu, że nieprzyjacielska jazda, już do luki téj zbliża się w zawód, sam zbliżam się do szwadronu powstańców Brzeskich Lit., i zachęciwszy ich rzucam się naprzód, gdy kula z pistoletu przeszywa mi na wskróś rękę prawą powyżéj łokcia, wypada mi oręż, krew leje się obficie, Boga atoli biorę na świadectwo, że widząc lejącą się krew moją, pierwszem uczuciem mojém był nie ból rany, lecz jakaś pycha, żem nią się broczył w obronie lubéj ojczyzny mojéj.

Lecz ta radość, ta patryotyczna pycha, ustąpiły wkrótce boleści, gdym ujrzał zupełną przegranę naszą. Oddział milicyi, którym prowadził, zszedł z pola. Wszędzie pomięszanie i



Litwini z 16^go wieku.



Ubiory z 17^go wieku.

nieład. Już całe wojsko Moskiewskie następowało i otaczało nas zewsząd; piechota nasza, acz przerzedzona, walczyła jednak, kłuła się z Moskalami, ustępując ku pałacowi, na dziedzińcu onego, na ganku, w piwnicach nawet. W pośród téj rzezi, Naczelnik stara się zebrać resztę jazdy naszéj, wtém koń zabity pada pod nim, poddają mu świeżego, odpieramy jeszcze na chwilę kozaków, lecz cała massa dragonów Moskiewskich wpada na nas, officer chwyta konia mego za cugle; raniony, bez oręża, daléj bronić się nie mógłem, stałem się jeńcem.

Officer ten zaprowadził mnie do pobliskiego lasku i tam stał się mym szatnym; wziął mi naprzód zegarek i worek z pieniędzmi; zdejmując skrwawioną mą kurtkę, postrzegł piękny pierścień, antyk, na palcu moim, rzucił się nań chcąc go zdiąć, lecz ręka i palec, z przyczyny odniesionéj rany, krwią nabiegłe, czyniły rzecz trudną. Officer jął się do prędszego sposobu: włożył palec mój w gębę i chciał go wraz z pierścieniem odgryźć; czując już zęby jego: — Poczekaj, zawołałem, ja go sam zdejmę. Jakoż dobrze pośliniwszy ów palec, acz z ciężkością, zdiąłem pierścień i oddałem mu go; tu nic już nie mając do wzięcia, zdiąwszy mundur z zabitego żołnierza, narzucił go na mnie i puścił.

Coraz bardziéj upływem krwi słabieć zacząłem. Przybiegali officerowie Moskiewscy na wszystkie strony, radośne barbarzyńskie krzyki nad zwycięztwem swojém wydając, a każdy z nich, lżąc mię grubijańskiemi słowy, kańczukiem po plecach okładał. Nie wiem jak długo trwałoby to pastwienie, gdyby szczęściem nie przybył Podpułkownik Tołstoj; ten zgromiwszy tych oprawców, wziął mię z sobą i do głównéj kwatery poprowadził. Przejeżdżaliśmy przez całe pobojowisko. Pobojowisko to całe było zasłane trupami obdartymi do naga. To krwawe śmierci widowisko miało coś wielkiego, w saméj nawet okropności swojéj. Ogromne te ciała po większéj części z przebitemi bagnetem piersiami, silne ich członki zlane krwią już skrzepłą, z wyrazem jeszcze grozy lub rozpaczy na martwych ich twarzach, nadewszystko myśl, że waleczni ci ludzie polegli zasłaniając ojczyznę piersiami swemi, wszystko to napełniało duszę moją wrażeniami, które się nigdy nie zatrą.

Przybyliśmy nakoniec do najwyższego wodza, Generała Fersen, już sześćdziesięcio-letniego starca. Przechodził się po dziedzińcu. Suchy, wysoki, zamiast munduru miał on suknie z felpy pąsowéj, z małym złotym galonkiem, bez szpady, słowem, po cywilnemu jak tylko można, zwłaszcza w dzień bitwy. Byłem mu przedstawiony i zaprowadzony do domu, który siedmią godzinami wprzódy służył nam za główną kwaterę. Izba napełnioną była Generałami Moskiewskimi i wielu naszymi, jakoto Generałowie: Kniaziewicz, Sierakowski, Kamieński, brygadier Kopeć. Łzy nam się puściły, gdyśmy spojrzeli na siebie. Generałowie Moskiewscy byli następujący: Chruszczew, Tormansow, Denissow, Engelhard. Znali oni wszyscy familią moję i przyszli mię cieszyć i wielkie czynić oświadczenia. Nie jesteśmy barbarzyńcami, nie jesteśmy barbarzyńcami, powtarzali ustawnie. Usilność, z którą powtarzali to zapewnienie, dowodziła, jak własne ich sumienie przypominało im ustawnie, że byli nimi.

Bezstronność jednak wyznać mi każe, iż w téj chwili grzeczność ich dla nas może była nieudawaną; w chwilach powodzenia i radości złym nie jest człowiek. Wyszli oni szczęśliwie z krwawéj i uporczywéj walki, pozbyli się wodza powstania, z którym wojnę uważali za skończoną na zawsze. Zamiast trudów obozowych, niebezpieczeństw, śmierci, świetne nagrody, gwiazdy, wstęgi, krzyże, ruble, nadane włości, w pięknym orszaku tańcowały w ich głowach. Powtarzam więc, że w tych pierwszych chwilach radości, uważając nas jako narzędzia przyszłego ich szczęścia, nie mogli nas nienawidzić, ubiegania się ich w atencyach nie miały granic. Oblany byłem krwią i nie opatrzony jeszcze. Pułkownicy Moronzow i Chlebow posłali natychmiast po cyrulików swoich; ci w tych chwilach, jak wnosić łatwo, aż nadto byli zatrudnieni, przyszli jednak, zgłębili mą ranę, kula przeszyła na wylot prawą mą rękę, w miejscu, gdzie zwykle krew puszczają, poprzerywawszy mniejsze żyły, nienaruszywszy kości. W pierwszém opatrywaniu nie czułem wielkiego bólu, nie przewidywałem, na jakie później wystawiony być miałem boleści.

Tymczasem główna kwatera coraz się bardziéj zaludniała; między przybywającymi ujrzeliśmy żonę i synowice Generała Chruszczew;

przebierały się one przez plac bitwy; niemogliśmy się dość dziwić, z jaką zimną krwią i wesołością przekraczały one rozciągnięte nagie ciała pobitych, zawalające im przejście.

Okropniejsze nad wszystko czekało nas widowisko; właśnie gdy niespokojny pytam wszystkich, co się stało z Kościuszką, gdy Moskale powiadają mi, że poległ w boju, widzę żołnierzy dźwigających na noszach dużo skaleczonego człowieka, był to waleczny lecz nieszczęśliwy nasz naczelnik; krew oblewająca go całego, okropną czyniła sprzeczność z siniałą twarzy jego bladością; Kościuszko odniosł głębokie cięcie w głowę i dwie rany od dzidy powyżéj bioder; zaledwie oddychał. Ścisnęło się serce moje, łzy puściły mi się z oczu, od téj chwili, aż do téj, w któréj stanąwszy w twierdzy Petersburskiéj, zamknięci byliśmy osobno, nie opuściłem go i na moment. Zaniesiono go do sali na górę, chirurg opatrzył rany. Jam smutny usiadł przy nim, dwóch grenadyerów stanęło przy drzwiach. Ku zmierzchowi, że Fersen potrzebował téj sali na jadalną swą izbę, przeniesiono ranionego do dolnego pokoju nad samą piwnicą. Noc następująca po dniu tym nieszczęsnym, była najboleśniejszą dla mnie. Leżałem na słomie przy chorym, cierpiąc więcéj na umyśle, niżeli na ciele. Tłum Moskali, napełniając dom, już się powoli rozchodził; już gasły światła, gdy gwar ten pomieszany wykrzykującéj tłuszczy ustąpił jękom i wyrzekaniom ranionych i konających.

Odyssej a.

(Ciąg dalszy.)

W. 15—81.

Potém bohatér Egipt zaczął między nimi mówić, który już był nachylony od starości i zaznał wiele rzeczy na świecie. Albowiem i jego syn miły puścił się był w drogę z ślachetnym Ulisem w brzuchatych okrętach do Ilionu, z koni słynącego (1), Antyf włócznią władnący, którego zabił dziki Cyklop w jaskini sklepistéj i był ostatni, którego przeznaczył na wieczerzę.

Miał jeszcze trzech innych, a jeden z nich Eurynom przestawał z zalotnikami, dwóch zaś zatrudniało się ojcowskiemi sprawami. Ale pomimo to nie zapomniał on o nim, żałując i ubolewając. Ten między nimi z płaczem przemówił i rzekł:

Słuchajcież mnie teraz Itakanie (2), co wam powiem; nigdy nie było naszego zgromadzenia odtąd, jak boski Ulis odpłynął w brzuchatych okrętach. Któż to nas tu teraz zgromadził? Kogóż tak nagli potrzeba z pomiędzy młodych lub starszych mężów? Czy czasem kto usłyszał nowinę o wkraczającym wojsku, którąby nam rzetelnie opowiedział, skoro się o tém najpierwéj dowiedział? Albo czy inną jaką rzecz narodową oznajmi i opowie? Zdaje mi się być zacny, błogosławiony. Bodaj mu Jowisz wszystko dobre zdarzył, które on w sercu swojém zamyśla.

W. 35.

Tak rzekł, a miły syn Ulisa cieszył się z téj wróżby, nie siedział więc długo na miejscu, lecz poczuwał się do mówienia; stanął w śród zgromadzenia, a woźny Pizenor, świadom zdrowéj rady, podał mu berło w rękę. Potém najprzód do starca mowę zwróciwszy, tak do niego przemówił:

W. 40.

O starcze, nie daleko ten mąż, (wnet to zaś sam poznasz), który zgromadził naród; najwięcéj zaś mnie bieda dokucza.

Nie słyszałem ja żadnéj nowiny o nadchodzącém wojsku, którąbym wam dokładnie opowiedział, żem najpierwéj o tym usłyszał, ani téż innéj rzeczy narodowéj nie oznajmię ani opowiem; lecz mój własny interes dwojaki, że złe dom mój nawiedziło, najprzód, żem dobrego ojca utracił, który niegdyś nad wami samymi królował i był wam łaskawym ojcem, a potém, co jeszcze gorsza, że w krótce cały dom podupadnie i majątek całkiem zniszczeje.

W. 50.

Matce zaś mojéj naprzykrzają się gwałtem zalotnicy; mili synowie owych mężów, którzy tu są najmożniejsi, wzbraniają się pojść w dom ojca Ikarego, żeby on córkę wyposażył i wydał ją, za kim zechce, i któryby zasłużył na jego względy. Ci się w dom nasz zwaliwszy, dzień w dzień zarzynając woły i owce i tłuste

(1) albo w piękne zrzebce lub konie obfitego.

(2) Podług analogii Afrykanin, Amerykanin, można téż mówić Itakanin.

kozy, hojnie sobie używają i piją przezroczyste wino bez względu i marnują nie mało; albowiem nie masz takiego męża, jakim był Ulis, któryby klątwę od domu odwrócił; a my nie zdołamy jéj odwrócić, nawet i na dal zostaniemi biednymi i niepoczuwającymi się w zdolności; zapewnebym się oparł, gdyby mi mocy stało. Albowiem nieznośne psoty wyrabiają; bezecnie dom mój niszczeje; oburzcie się sami na to i wstydźcie się przed innymi sąsiadami, którzy na okół mieszkają, i bójcie się gniewu bogów, aby snadź złemi postępkami rozgniewani tego nieodpłacili. Proszę was przez Jowisza Olimpijskiego i przez Temidę, która zgromadzenie mężów zrywa i znowu kojarzy.

W. 70.

Hamujcie się, przyjaciele, dopuśćcie, niech w moim okropnym smutku ja się sam biedzę, chyba, jeśli czasem mój poczciwy ojciec Ulis zniechęcony skrzywdził nogozbrojnych Achiwów (3), że wy mnie to oddając, nawzajem zniechęceni krzywdzicie tych podbechtując; dogodniéjby mi zaś było, gdybyście wy to tylko trawili moje zapasy i inwentarz (4); gdybyście wy to tylko zjedli, możeby kiedy nastąpiło wynagrodzenie; bobyśmy tak długo po mieście nalegali z prośbą o odzyskanie dóbr, ażby nam wszystko wrócono; ale wy teraz sercu mojemu zadajecie nieuleczone rany.

Tak mówił w gniewie i rzucił berło o ziemię łzy wylewając, i uczuł litość nad nim wszystek lud.

Wtedy wszyscy inni milczeli i nikt się nie ośmielił Telemakowi przykremi słowy odpowiadać; lecz sam tylko Antynoj odpowiadając przemówił do niego: Hardomowny Telemaku, zawzięty w uporze, cóżeś to powiedział nas zawstydzając? Chciałeś nam łatkę przypiąć (5), wszakci zalotnicy Achajscy tobie nic nie zawinili, lecz kochana matka, która chytrością narabia. Już bowiem mija trzeci rok, a wnet i czwarty nastąpi, jak ona mami serca czułość w piersiach Achiwów; wszystkim czyni nadzieję i obiecuje każdemu mężowi przez poselstwo, a umysł jéj inne rzeczy knuje i wymyśliła w sercu jednę i drugą sztuczkę. Postawiwszy duże krosna w domu, tkała na nich subtelne i szerokie płótno, a potém się do nas tak odezwała: Młodzieńcy, moi kochankowie, ponieważ umarł boski Ulis, zaczekajcie z naleganiem na mój ślub, aż skończę szatę pogrzebową (6) (żeby mi się przędziwo daremnie nie psuło) dla bohatéra Laerta, kiedy go dola okropna śmierci mostem ścielącéj (7) spotka, żeby mi tego jaka Achajka z pomiędzy ludu nie przyganiła, gdyby bez prześcieradła leżał ten, który tak wiele posiadał. Tak rzekła, a zaraz się nasz umysł mężny dał nakłonić. A tak za dnia tkała wielką tkankę, a w nocy ją rozpuszczała, zapaliwszy pochodnie. Tak więc przez trzy lata ukrywała się jéj chytrość i uwierzyli jéj Achiwi. Ale gdy nadszedł czwarty rok i przyszły godziny, tedy o tém powiedziała jedna z kobiet, która to dobrze wiedziała i zastaliśmy ją rozpuszczającą piękną tkankę. Tak ją więc skończyła choć niechcąc z przymusu. Tobie zaś zalotnicy odpowiadają, abyś to sam w sercu (w sobie) wiedział i aby to wszyscy Achiwi wiedzieli. Matkę twoją odeślij i przymuś ją pójść za mąż za tego, którego jéj ojciec wskaże i który się jéj spodoba. Ale jeżeli jeszcze dłużéj synów Achajskich krzywdzić będzie, tym narabiając w duchu, co jéj Minerwa obficie użyczyła, popisując się umiejętnością wybornych dzieł, nielada dowcipem i różnemi fortelami (wybiegami) dotąd niesłychanemi, w czém żadna nawet z pomiędzy owych starożytnych Achiwek pięknowłosych, jakoto: Tyrona, Alkmena i pięknowłosa Mykena, co do wymysłów nie wyrównała Penelopie; wszelako jéj się to, co ona wymyśliła, niema poszczęścić. Tak długo więc bowiem twoję żywność i zapasy zajadać będą, dopóki ona taki umysł mieć będzie, jaki jéj teraz w piersiach umieścili bogowie. Wielkiéj wprawdzie sławy sobie nabywa, ale ciebie nabawia nie małéj straty żywności.

My zaś ani do naszych obowiązków (interesów), ani gdzie indziéj rychléj nie pójdziemy, póki ona nie pójdzie za mąż za kogo zechce z pomiędzy Achiwów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(3) niby goleniozbrojnych, w nagolanki opatrzonych, unagolankowanych.

(4) Dobra ruchome i nieruchome, skarby, zbiory i dobytek; dobra i dochody. Ponieważ znaczenie pojedyńczych wyrazów Greckich wątpliwe, więc też krzyżują się zdania tłómaczów.

(5) hańbę zadać.

(6) — śmiertelną koszulę. Po Prusko-polsku nazywa się taka koszula dla umarłego żdżgło, a w kancyonalu Polskim gzło. Pierwotnie musiało to znaczyć płótno. Stąd pochodzi Niemieckie Segel — żagiel. Porównaj w słowniku Lindego: czechło — żdżgło.

(7) Wyraz Grecki *taneleges*, zdaje mi się najlepiéj odpowiadać Polskiemu: Mostem ścieląca śmierć.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)